Pseudonim: Teresa Skalska – Katarzyna Skoczek

Park Roth

Zdarzyło mi się niegdyś ujrzeć w lesie rano
Dwie drogi; pojechałem tą mniej uczęszczaną -
Reszta wzięła się z tego, że to ją wybrałem.
Robert Frost

Stało się to w dniu, kiedy po raz pierwszy wracał do domu inną drogą. Powoli zmierzał przez Park im. Miasta Roth w Raciborzu, mijając rzeźbę nagrobną, przedstawiającą postać kobiety. W szacie zawijającej się u stóp, zamyślonej, dumającej. Czy już wiedziała?

Do dziś nie byłby pewnie w stanie powiedzieć, dlaczego ją wybrał. Zawsze wracał do domu kilkanaście minut. Zwykle z podstawówki na Wojska Polskiego prosto do kamienicy na Wileńskiej, gdzie czekał już obiad. Ważne było być punktualnie. Matka, pielęgniarka, odpoczywała po nocnym dyżurze w szpitalu. Z poczucia obowiązku nawet wycieńczona gotowała dwa dania. Nie było za to potrzeby rozmawiać. Chyba, że czasem. O szpitalu.

- Mówię ci, Jonaszu, jaki chłopak do nas dzisiaj przyjechał… Łysy, z tatuażem na czaszce, powykrzywiany jakiś, trzy palce obcięte, u samej kości. Dobrze, że ty taki nie jesteś. Zawsze to spokój…

Syn słuchał. Matka prawie nigdy nie pytała o szkołę, bo wiadomo było, że dobrze, że grzeczny, słucha się, zadania robi. Ciekawostek nie chciała słuchać. Kazała wtedy kończyć albo podśpiewywała pod nosem udając, że nie słyszy. Czasem muzyka nic nie dawała i było słychać krzyk. Może właśnie wyczerpała się codzienna dawka miłosierdzia, którą każdego dnia rozdzielała jak ampułki pacjentom. Jonasz nie raz zapomniał klucza i widział jak matka czule obchodzi się tam z takimi “obrzynkami” jak wykrzywiony.

Ojca nie było. Kiedy jeszcze był, to zamykał się w pokoju. Nic nie mówił. O pracy też nic nie mówi. Ojciec pracował pod ziemią. Bardzo ciężko i dobrze, żeby Jonasz tak kiedyś nie pracował, przynajmniej tak mówiła matka.

***

A może to droga wybrała jego? Nie sposób ustalić odpowiedzi. Pozostawione drogi milczą jak ludzie, którzy na twój widok rzucają zdawkowe “Pomogę”. Zawijają się pstrokatym

szalem kamieni, zasypują oczy pyłem spod twych nóg, które już nigdy nie podepczą ich jestestwa. Wreszcie rzucają zaramienne spojrzenie na odchodne i ślepo zakręcają, wybierając przeciwną stronę, tak, żebyś nie mógł stąpać im po piętach w drzewnym korytarzu.

Może zrobiły to, żeby żałował. Żeby ubolewał. Że nie okręcił się na stopie przed przydepnięciem brzegu piaskowej wstążki, drogi, która ze sprawnością palców jego matki, gdy cerowała, okręciła gardło lasu. Sięgnęła wprost do gardła chłopca. Zsunęła rękę i zawinęła się niczym żmija wokół jego stóp.

Niemi świadkowie wyboru po dziś dzień spacerują w pokracznej czarnej szacie skrzydeł, co rusz ciągnąc za sobą plastikowy artefakt. Porwaną z wierzchu kosza puszkę po napoju energetyzującym. Będziesz mocny. Silny. Unieś to. Jak orzech, który wypada z łuku dzioba niezdarnie wystrzelony w przepaść. Przygarbione czerepy czynią straszliwe larum o nic. Że też nie mogły tak krzyczeć, gdy szedł, wchodził, wydrapywał łzy kory.

Z szacunku do błędów nie nazwiemy tego przeznaczeniem. Skąd wiadomo, że ktoś dobrze wiedział, że tak być powinno. Dlaczego miażdży, aby tworzyć? Jak wymierzył, że przygnieciony ma wystarczającą siłę, żeby odepchnąć głaz?

***

Tamtego dnia kruki krążyły miarowo pod drzewem. On też tam stał i przestępował z nogi na nogę. Głowa zadarta w górę, tam gdzie wspinały się szyjami gałęzie. Wybrał jedno z nich. Przytulił się do chropowatego brzucha, zatknął prawą nogę o wystający fragment kory i wsunął się wyżej.

Nie były to kroki nowicjusza. Jonasz potrafił się wspinać na szczyty największych drzewnych mocarzy, czołówki plebiscytu nastoletnich odważnych. Nikt nie mógł się z nim równać.

Zaczęło się tak, że nie miał nic. Nic takiego, czym mógłby się pochwalić. Nie był niski, nie był gruby, do niczego nie dało się przyczepić, ale też i nie było czego zauważyć. Chyba, że milczenie. Cisza przezroczystych niebieskich oczu, która sprawiała jakąś nieodgadnioną przyjemność dręczącym, wlewała się niczym miód do uszu, oliwiąc łańcuch pogardy dla milczącego. Gdy ofiara milczy, ciekawość, ile zniesie zanim zawyje jest ekstatyczna.

Chciał pójść tylko popatrzeć na drzewa. Wstydził się ludzi. Wchodząc do sklepu czekał aż wyprzedzi go kilku kupujących. Gdy zaszła konieczność sam w pustym sklepie czuł się jak złodziej. Jakby czegoś nie powinien. Tym razem szedł zobaczyć, czy da się wspiąć na rozłożyste drzewo obok placu zabaw. Mogło być dużo ludzi, więc chciał darować sobie słuchanie ostrzeżeń i komentarzy.

***

Najpierw zawołała go czereśnia. Ciężko było odmówić. W chowanego wśród liści był to najlepszy sposób. Kiedy go znaleźli, dziwili się, że jak ptaszek siedzi na wcale nie tak dorodnej gałęzi. A widząc ich wzrok, dalej i dalej czmychał i był już wysoko, na gałęzi, gdzie najsłodsze owoce. Zrzucał je wreszcie z góry. Nie znając Jonasza, można by powiedzieć, że czyni to z pogardą. Ale pogarda nie była dla niego. Oni łapali i jedli. Pierwszy raz byli zależni od niego. Ciskał owoce w otchłań, gdzie czekali.

Wybierał drzewa i z upodobaniem dosiadał ich szczytu. Najpierw robił to w obecności. Wołali: “Hej! To ten z drzewa!”, a on wchodził jeszcze wyżej. Nie trzeba było nic mówić. On patrzył, oni zadzierali głowy. Nie trzeba było nic więcej by poczuć się na miejscu.

***

Chciałoby się wspiąć po gałęzi historii i powiedzieć, że ojciec zapisał go na wspinaczkę i od tej pory eksplorował górskie szczyty. Nie miał już ojca. Może dlatego nigdy tak się nie stało. Nadal był nadrzewnym okolicy.

A teraz stał przed Tym Drzewem, obok Marii i placu zabaw. Tłumaczył sobie, że to Maria - od Maryi, co siedziała z dzieckiem na kolanach. Taką widział w podręczniku od polskiego. Podobne co niedzielę odwiedzał w Kościele Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Raciborzu. Tylko stojące, wyprostowane lub lekko pochylone nad synem.

Ta nie miała dziecka. Siedziała zamyślona. “Gdzie jej dziecko?” - myślał często. Może uciekło. Ukryło się między koronami drzew. Może krzyczy: “Szukaj!” i radośnie podskakuje. A co, kiedy Maria zgubiła dziecko, kiedy nie może go znaleźć. Siedzi latami w tym miejscu i wypatruje synka. W tak smutnym miejscu, gdzie kiedyś przychodzono by wypatrywać śladów zmarłych. Na nic to, bo może chowa się za podziemnymi gałęziami. I krzyczy: “Szukam!” już od wielu lat. Matka szuka. Czy znalazła? Kiedy? Gdzie go odnajdzie?

Wszedł dla siebie. Dla wiary, że można jeszcze wiele zobaczyć, nawet kiedy nie było tych pod drzewem. Właściwie był to rodzaj parady. Demonstracji. Barwnego Bożego Ciała. Jak co roku w parafii. Cudowny obraz. Piękne widoki. Ręce drętwieją pod ciężarem drewna. Jest pięknie, nogi wichrują w powietrzu. Równia pochyła ręki. Wygięta linia drzewa. Huk jak ciężar dorodnych jabłek, całego worka. Dlaczego czasem czujemy ziemię w ustach zanim wyrosną skrzydła?

***

A może to nie ich wina. Wystarczająco już znoszą nazywanie krukami, nie ptakami. O ptak leci! A tam kruki siedzą! Ile razy przyszło im to słyszeć?

Siła przygniotła go do ziemi. Bezbronnego wspinacza, na niczyją krzywdę stąpającego. Że też lokalny wspinawczyk musiał wybrać drzewo zamiast sadzawkowych psot. Zamiast kąpieli w fontannie. Tam tylko krzyk lokalnych.

“Włazisz, włazisz aż w końcu spadniesz!” - głos starości, przepowiednia przygarbionej babki, opiekunki rudego kota z drugiego piętra.

Matka przyjechała natychmiast. Nie wzięła go na ręce. Nie krzyknęła. Bano się ruszać.

***

Tuż przed myślał chyba o dzięciole, którego dostrzegł podczas wspinania się na jedno z drzew. Walił dziobem w osmalony pień. Dudniło, miarowo biła jego głowa, ale robił to dalej. W encyklopedii albo gdzieś indziej wyczytał, że dzięcioł ma zwinięty w trąbkę język. To dlatego wali, wali, a nic się nie dzieje. Czy człowiek ma tak samo? Jego też coś ustrzeże? Coś co się powykręcało celowo jak ten język? I to go właśnie chroni?

***

Ja potrafię wchodzić na drzewa, a tego się boją nawet najwyżsi chłopcy. Może coś z tego będzie. Może będę jakimś wspinaczem. Będę wchodził wysoko i zawsze będę tylko spoglądał na wszystko przez liście. Nie będę musiał wtedy schodzić na dół. Nie będę osmalony węglem, nie będę schodził pod ziemię. Na głowę też nie będę musiał uważać, bo nikt we mnie nie rzuci czereśniami. Jak gawron zabieram do dzioba, co zechcę. Zabieram najlepsze i oddaję wyłupioną resztę.

***

Koniec, koniec na dzisiaj. Trzeba wracać. Matka to nie Maryja. To nie chodzące miłosierdzie. Kranik dobroci zakręca się za drzwiami szpitala. Lunął deszcz i pachnie zmokłą wroną. Niepokojem. Trzeba się zsunąć i lecieć do domu.

***

Dni płynęły w bezruchu. Białe sale i płaski horyzont. Horyzont się zwęził i przybrał kształt metalowej rurki łóżka. Można było patrzeć. Patrzyło się, ale już nie spoglądało. Nawet zadzierało głowę. Cały świat na wpłask. Można tylko zapuścić korzenie i trwać, czekać i patrzeć.

Uprzejmość matki. Uprzejmość jej białych koleżanek. Uprzejmość do niczego niepotrzebna. Psia krew z taką uprzejmością!

Popołudniami siostra.

Siedzi, poprawia okulary, mierzwi poplątane brązowe loki i mówi.

Nie będzie już drzew, będą teraz inne zabawy.

Nie da się poruszać, ciężka z tym sprawa, ale przynajmniej wiadomo jak i co.

Plastikowe noże, nikt nie da innych.

Nie ma miejsca, nie wolno dawać mu miejsca przy oknie.

Tęsknią drzewa.

***

W miejscu, w którym stałeś się kimś innym kwitną bratki. Zastanawiasz się, czy skóra, którą porzuciłeś była warta przebrania. Toczysz się po koślawym chodniku, który kiedyś nie pozostawiał po sobie złego wrażenia.

Nie było go tu cały wiek. Zostawiasz skórę i nigdy po nią nie wracasz. Tak chciał zrobić, tak planował. Coś jak ta wiśnia wołało go jednak w tę stronę. A może chciał sprawdzić, co u Marii. Smutno by było zostawić w takiej sytuacji. Drzewo stało spokojne, z placu zabaw dochodziły gardłowe piski dzieci, a staruszka rozdzielająca stronice książki pożółkłymi paznokciami wypowiadała: “Biedny chłopiec, biedny chłopiec...)”.

***

Wypatrzył go z samochodu. Właśnie wracał z matką z rehabilitacji na Ogrodowej, kiedy tuż obok zatrzymał się ogromny Jeep, oklejony na żółto.

- Dzień dobry! Witaj, bracie! - krzyknął rosły mężczyzna i wychylił z auta toporną pulchną dłoń.

Matka zrobiła krok w tył, zatrzymała wózek. - Skąd go pan zna? - zapytała ponuro wyblakłym tonem.

- A bo to ja go znam? Nie, tylko patrzę, a tu jedzie zawodnik.

Na dźwięk słowa “zawodnik” coś poruszyło się w Joachimie i zakołysało lekko. Zadrwił z siebie. Zadrwił ze mnie, pomyślał.

- Ano tak, zawodnik. Nie dla mnie, ale na pewno ucieszy się z niego mój kolega. Koleżko, na tym wózku dajesz sobie radę, to i na cięższym podołasz. I z piłką!

Teraz Jonasz już nic nie rozumiał. Chciał jednak zostać. Pulchny mężczyzna o paciorkowatych oczach wysiadł z samochodu kołysząc się jak na szczudłach. Teraz omiatał go wzrokiem, czego chłopak nienawidził jeszcze przedtem. Z pieczary żółtego wozu wyciągnął wizytówkę z numerem. “TRENER RUGBY NA WÓZKACH…” - głosił napis. Pod spodem stosowne nazwisko i numer telefonu.

Dwa dni później, wieczorem wyjął na pół złożoną tekturkę z kieszeni starej zielonoszarej kurtki matki. “Zawodnik” - powiedział do lustra - “Może i tego kolegę poznamy…”.

***

Kołami swej klątwy toczę się do opuszczonej już sali.

Czuję jakby dzisiaj te echa tłumów, powidok reflektorów, oddźwięk ruchomej piłki, to wszystko było i się działo.

Każdy ruch, myśl, krzyk, emocja.

Rytm głosu matki zgrał się z poblaskiem iskrzących szklików lamp. Czuję uderzenie w okolicach czoła.

Niebo się rozbija.

Zburza.

Reflektory zwracają się ku mnie jak karabiny, razem z graczami.

Echa tłumów pobrzmiewają w głowie.

Krople stały się ołowianymi igłami, których dotyk przypomina zimne błyskawice.

Moje nogi dostały czucia tylko po to bym mógł poczuć ich ból i podszeptywania.

„Zagraj! Zagraj! Wiemy że tego chcesz. Przecież możesz to robić, czyż nie? Wiele możesz robić!”

Twarz ma zaczyna deszczyć.

Próbuję ją wytrzeć, ale łzy są czerwone, są krwią.

Krwawią moje ręce obtarte od kół.

Moje nogi.

Mój świat.

Wszystko jest czerwone.

A

potem

czarne…

***

Mecz przegrany. Jeśli chcecie wiedzieć, to pierwszy przegrany, przedwcześnie zakończony dla mnie mecz.

Może kiedyś opowiem, że mnie to rozzłościło. Że chciałem to rzucić, ale tego nie zrobiłem. Albo, że nie przyszedłem już więcej. Wiele mogę zrobić. Teraz chcę to robić dalej.

Czasem jeszcze przejeżdżając przez park z żalem patrzę na chłopców na rowerach. Ciężko, gdy ścigają się do fontanny.

W przyrodzie podobno wszystko zmienia swą postać. Trzeba zostawić skórę. Zmienić perspektywę. Zamiast spoglądać, spojrzeć. Czasem zadrzeć głowę.

Są dni, kiedy jest lepiej, są dni, kiedy jest gorzej.

Jedni mówią, że będę jednym z najlepszych. A nawet nie widzieli jak gram. Inni mówią, że doskonały sposób na rehabilitację. Oni widzieli jak gram. “Widziałem, że dobrze się tam bawicie! Fajne masz hobby!”.

Trzy razy w tygodniu jest trening.